



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Ś.  P.

ADOLF PAWIŃSKI.

I znów świeża wyrosła mogiła. Po niedawno zmarłym Józefie Przyborowskim i Kajetanie Kraszewskim rozstał się z tym światem profesor Pawiński i to w samym rozwoju sił fizycznych i duchowych, doszedłszy ledwie 56-go roku życia. Strata to olbrzymia, bo ze śmiercią jego ubywa jeden z najpracowitszych i najzdolniejszych badaczy naszej przeszłości dziejowej. Ukończywszy na czterech uniwersytetach (w Petersburgu, Dorpacie, Berlinie i Getyndze) studia historyczne, weześnie poświęcił się pracy naukowej w tym kierunku, a pierwszym jej owocem była dysertacja po niemiecku napisana w r. 1867 na stopień doktora filozofii w Getyndze p. t. *Zur Entstehungsgeschichte des Consulats in den Communen Nord-und Mittelitaliens*. (Dzieje powstania konsulatu w gminach północnej i środkowej Italii), zaś drugim ważniejszym — praca napisana po rusku w r. 1871 o słowianach połabskich, za którą otrzymał w Petersburgu stopień doktora nauk historycznych.



† Ś. p. ADOLF PAWIŃSKI.

W tymże roku dostał nagrodę w postaci medalu złotego za gruntowną krytykę dzieła uczonego rosyjskiego Władimirskiego-Budanova o prawie niemieckim w Polsce i Litwie. Zostawszy profesorem b. szkoły głównej w Warszawie, a następnie uniwersytetu warszawskiego i wkrótce potem, znany już zaszczytnie z dzieł naukowych, zamianowany w r. 1873 członkiem — korespondentem wydziału historyczno-filozoficznego Akademii umiejętności w Krakowie, obok zwykłych zajęć profesorskich rozpoczął wydawanie peryodyczne „Źródeł dziejowych,” składających się z licznego szeregu dokumentów historycznych, niesłychanie cennych dla badacza dziejowej przeszłości Polski, poprzedzając zwykle każdy nowy tom obszerną, a gruntowną monografią lub przeplatając je całkowitemi tomami studiów historycznych. Do tych ostatnich należą: *Dzieje zjednoczenia ormian polskich z kościołem rzymskim w XIII w.* (1876), *Sprawy Prus książęcych za Zygmunta Augusta* (1879), *Skarbowość w Polsce za Stefana Batorego* (1881), wreszcie *Polska w XVI w. pod względem geograficzno-statystycznym* w sześciu tomach (Wielkopolska 2 t., 1883, Małopolska 2 t., 1886 i Mazowsze 2 t., 1895). Do wydanych w „Źródłach dziejowych” dokumentów historycznych należą: *Początki panowania w Polsce Stefana Batorego* (1877); jest to cenny niezmiernie zbiór listów, uniwersałów i instru-

keyj, pisanych między 1575 a 1577 rokiem, poprzedzony gruntowną rozprawą autora o synodzie piotrkowskim z r. 1577. W tymże 1877 r. ukazał się *Stefan Batory pod Gdańskiem*, drugi z kolei zbiór listów, uniwersałów i instrukcji, dotyczących się głównie w początkach panowania tego króla sprawy Gdańska, o której autor również załączył rozprawę historyczną. Następnie w r. 1881 wydał *Księgi podskarbińskie z czasów Stefana Batorego*, zaś w r. 1882 *Akta metryki koronnej z czasów Stefana Batorego* z rozprawą autora o tym królu jako myśliwym. Wreszcie wydał *Pamiętniki Marcina Matuszewicza 1714—1715* (1876, 4 t.). Obok tych wydawnictw, wydawał także, jak to widzimy, rządy Batorego, Pawiński wzbogacił „Bibliotekę umiejętności prawnych“ dwiema rozprawami: *O pojednaniu w zabójstwie* (1884), w której rozpatruje starodawny sposób polubownego załatwiania sprawy zabójcy z rodziną zamordowanego, i *Janu Ostroroga żywot i pisma* (1884), gdzie podaje przedruk dzieła tego uczonego w XV w. z tłumaczeniem polskim obok, poprzedziwszy to wszystko szczegółowym życiorysem Ostroroga i gruntowną krytyką jego „Memoryału“, będącą dalszym ciągiem studiów nad tym zabytkiem prof. Caro i Bobrzyńskiego.

Atoli najbardziej szacowną pracą Pawińskiego jest pomnikowe dzieło jego *Rządy sejmikowe w epoce królów elekcyjnych* (1888), składające się z pięciu grubych tomów, z których pierwszy zawiera wielkiej wagi rozprawę autora o faktycznym znaczeniu sejmików w Polsce, które, jak to ostatecznie stwierdził Pawiński, były podwaliną całej organizacji rządowej w kraju i źródłem pierwotnym, skąd płynęły dodatnie i ujemne strony tej organizacji. Taki pogląd na znaczenie sejmików, oparty na laudach i instrukcjach ziemi kujawskiej od r. 1572 do 1792, wypełniających cztery pozostałe tomy *Rządów sejmikowych*, stanowi niejako przełom w dziejach rozwoju naszej historyografii; obok tego pierwszy Pawiński w tej pracy szczegółowo i jasno określił wszelkie czynności, zakres władzy i wogóle zbadał całą organizację sejmików w Polsce. Nie dziw przeto, że Akademia krakowska, mając na względzie tak wielkie zasługi nieboszczyka na polu badań historycznych, a obok tego uwzględniając także prace jego w kierunku archeologii, której był on niepospolitym znawcą, zamianowała go w r. 1891 czynnym członkiem swoim. Dalszym ciągiem powyższej pracy Pawińskiego są *Sejmiki ziemskie, 1374—1505* (1895), dzieło równej z poprzednim wartości; w niem dowiódł on, o czem nikt przed nim nie twierdził, że w niektórych ziemiach, jak np. łęczyckiej, brzeskiej, radomskiej, sandomierskiej i t. d. odbywały się już sejmiki w początkach XV, a nawet w końcu XIV w.; przytem wykazał proces tworzenia się sejmów prowincjonalnych i sejmu walnego, kreśląc wszelkie zmiany, które w nim zachodziły, aż do ważnego bardzo w dziejach sejmu Radomskiego, na którym władza królewska w walce ze szlachtą ostatecznie była skrepowana konstytucją pod nazwą „Nihil novi.“

Obok tych studiów głębokich Pawiński pozostawił po sobie dwa opowiadania historyczne, zawierające bardzo ciekawe, a nieznane dotychczas szczegóły z dziejów XVI w., a mianowicie: *Młode lata Zygmunta Starego* (1891), gdzie rzucił garść bardzo ciekawych i charakteryzujących późniejszego króla szczegółów podczas jego pobytu trzyletniego na zamku w Budzynie na Węgrzech (1498—1501), a potem na Szlązku, gdy oddano mu w zarząd księstwo Głogowskie i Opawskie, które on zarządził doskonale zagospodarować; drugie opowiadanie *Ostatnia księżna mazowiecka* (1892) zawiera również zajmujące i dość ważne szczegóły, towarzyszące przyłączeniu Mazowsza do korony po bezpotomnem zejściu ostatniego księcia mazowieckiego Janusza.

Jako owoc swych wycieczek za granicę, podejmowanych zawsze w celu naukowym wydał Pawiński jedyną u nas dotychczas dokładną historię Serbii, gdzie obok dziejów politycznych tego kraju skreślił jego geografję, etnografję i piśmiennictwo, a następnie dał nam opisy Hiszpanii i Portugalii, zwracając tu uwagę na wpływy cywilizacyjne Rzymu starożytnego na półwysep Pirenejski. Jeżeli do tego wszystkiego dodamy liczne bardzo broszury lub artykuły naukowe, pisywane do różnych czasopism nietylko polskich (w Bibliotece warszawskiej: *W sprawie o narodowość Kopernika*, w Ateneum,

w Tygodniku ilustrowanym: *Marcin Bielski*, w Kłosach: *Stanisław Polak*, jeden z pierwszych drukarzy w Hiszpanii, i t. d.), ale i zagranicznych, np. francuskich (*Revue historique*) i niemieckich (*Jahresberichte der Geschichtswissenschaft*, którego stałym był współpracownikiem), jeżeli następnie zwrócimy uwagę na jego stałe zajęcia jako profesora uniwersytetu, naczelnika archiwum akt dawnych Izby sądowej warszawskiej, kustosa muzeum archeologiczno-numizmatycznego przy uniwersytecie i wreszcie reprezentanta centralnej komisji archeologicznej królestwa polskiego—będziemy mieli dokładne pojęcie o tym ogromie pracy; który dźwigał nieboszczyk i który ostatecznie zawczesną śmierć spowodował. Ostatnią pomniejszą pracą Pawińskiego jest broszura o Michale Grölu, niezmiernie popularnym drukarzu w Warszawie z czasów Stanisławowskich, która niebawem ma się ukazać w osobnym wydaniu ze spisem wszystkich wydawnictw Grölowskich, ułożonym przez Z. Wolskiego.

Czytając wszystkie ważniejsze prace znakomitego historyka, spostrzegamy przedewszystkiem wielką równowagę umysłu jego i spokój prawdziwego mędrca, co patrzy na ludzi i wypadki z wyrozumiałością i możliwą bezstronnością, o którą tak trudno, jak to sam zmarły zaznaczył już w jednej z najwcześniejszych prac swoich, a mianowicie w krytyce dzieła o prawie niemieckiem w Polsce i Litwie. Pawiński nie tworzył nigdy z góry żadnych teorii politycznych, nie usiłował naginać faktów dziejowych do swoich, a priori utworzonych sądów; przeciwnie: zawsze, hołdując prawdzie w nauce i życiu, starał się wyudatnić fakty w prawdziwym ich oświetleniu, scharakteryzować je tak, jak na to zasługują bez względu na to, czy to oświetlenie i ta charakterystyka wypadła dla nich dodatnią lub ujemną. Stąd jego wnioski i sądy o faktach dziejowych i ludziach są zawsze oparte na starannie poprzednio dokonanej analizie i na podstawach niewzruszonych, a obok tego odznaczają się one ścisłą logiką i konsekwencją w swym wywodzie. Pawiński był jednym z tych historyków, którzy, badając przeszłość, umieją doskonale stopniować rozwój faktów i wszelkich czynników dziejowych i charakteryzować jednostki działające, którym nigdy nie odmawia woli i samodzielności w czynach pomimo uwzględniania różnych warunków zewnętrznych, grających, jak wiadomo, ważną bardzo rolę w dziejach tak pojedynczego człowieka, jak i narodów. Poza warunkami zewnętrznymi, urabiającymi charakter narodu, wy i zmuszającymi działać tak, a nie inaczej dla Pawińskiego istnieje zawsze jednostka wolna, odpowiedzialna za swoje czyny przed potomnością.

Na zakończenie dodajmy, że we wszystkich swych pracach zmarły profesor usiłował zawsze wyjaśnić jakiś fakt dziejowy, jakiś rodzaj działalności państwowej, wreszcie scharakteryzować jakąś instytucję lub człowieka, nie starając się natomiast nigdzie dać zupełnej charakterystyki, obejmującej całość kształt chociażby jednej nawet epoki; wpływa to stąd niewątpliwie, że autor zbyt był sumiennym historykiem, by oprzeć swój sąd ogólny na podstawach niepewnych bezwzględnie: dla niego tylko to miało wartość istotną, co było oparte na źródłach archiwalnych, a więc nosiło cechy niewątpliwej prawdziwości; rozumiał on zresztą dobrze, że dopóki możliwie wszystkie szczegóły życia dziejowego nie będą dokładnie znane, całości chociażby epok pojedynczych tworzyć niepodobna; jest to już zadanie może nawet odległej przyszłości, co potrafi ułożyć całokształt dziejów z nieskończonego mnóstwa tych pereł, których cząsteczka znajduje się i w dziełach Pawińskiego.

J. Nitowski.

POGA WĘDKA.

Przysłowie, stare jak świat, powiada: że—nie masz nic pod słońcem nowego, jakkolwiek prawdziwszem by było, gdyby je nieco zmieniono i powiedziano: nie masz nic pod słońcem pewnego. Mówiąc tak, powracamy, chcąc nie chcąc, do sprawy przeniesie-

nia Szpitala Dzieciątka Jezus na Folwark Świętokrzyski. Rzecz cała, jak o tem donosiliśmy w ostatniej pogawędce z wami, szanowni czytelnicy, mimo głosów złąd, to zowąd płynących, a tchnących pewnem niedowierzaniem w ostateczne zakończenie, bądź co bądź, palącej sprawy—została już stanowczo przez zarząd miasta roztrzygnięta i—szpital, bezwarunkowo, z klinikami i domem dla podrzutków, miał zająć terytorium Folwarku Świętokrzyskiego. Aż oto, niespodziewanie wcale odezwał się energiczny głos protestu ze strony głównego inżyniera kanalizacji i wodociągów p. W. St. Lindley'a, który przytoczywszy zbyt poważne powody, dla jakich protest swój wznosi, kazał ojeom miasta zapadłą już uchwałę wziąć pod nowe rozpatrzenie.

I rzeczywiście—lekceważyć słów pana Lindley'a w tym wypadku nie sposób; oto przyczyny jego energicznego veto!

„Gmach Szpitala Dzieciątka Jezus graniczyłby prawie w całej swej rozciągłości z obszernym placem miejskim, na którym mieszczą się filtry a przy nich baseny osadnikowe. Pomimo, że komory filtrowe, jak również zbiorniki wody czystej, są składowe i zamykane, p. Lindley twierdzi, że nie byłoby dostatecznie zabezpieczone przed wtargnięciem zarazków chorobotwórczych, mogących bardzo łatwo przedostać się tutaj z pobliskiego szpitala. Woda zaś ze zbiornika rozchodzi się na całe miasto, skutki więc mogłyby okazać się dla stanu sanitarnego całej Warszawy—fatalne.“

Czy obawa pana Lindley'a jest całkiem uzasadniona, prawdopodobnie niebawem dowiemy się o tem, boć nasi bakteriologowie zajmą się tą sprawą, a ich zdanie w tej sprawie miarodajnem być musi. Zanim to jednak nastąpi, powstał projekt zupełnie nowy. D. 20 sierpnia odbyło się w magistracie posiedzenie członków komitetu, zajmującego się przeniesieniem Szpitala Dzieciątka Jezus, pod przewodnictwem pana prezydenta miasta. Do rozstrzygnięcia postawiono pytanie: czy Folwark Świętokrzyski jest odpowiedniemi miejscem dla nowego szpitala i—na ten cel, zaprojektowano jeszcze dwa place: po wystawie higienicznej lub na polu mokotowskim. Większość oświadczyła się przeciw Folwarkowi Świętokrzyskiemu, za najodpowiedniejszy na ten cel, uznając plac wystawy, gdzie stanąłby Szpital i kliniki uniwersyteckie otoczone ogrodami, dom zaś wychowawców imienia Baudouina zająłby część Folwarku Świętokrzyskiego, i zostałby zupełnie oddzielony od gmachów szpitalnych, z którymi dotąd nierozdzielnie stanowił całość. Za ów plac, oddany miastu zostałby Folwark, na którym zasadzonoby ogród, służący do spacerów dla żądnej świeżego powietrza publiczności.

Uchwała zapadła—czy ostateczna, o tem dziś jeszcze powiedzieć nie można. Spragnieni ogrodów, w które nie obfituje wcale Warszawa, nie radzi są temu nowemu projektowi, który plac wystawowy, mający w niedalekiej przyszłości w park piękny się zamienić—oddaje pod gmachy szpitalne; zwracając więc wzrok na pole mokotowskie, mówiąc: „Tam—tam budujecie szpital, skąd już zarazki żadne nie dojdą do filtrów, a miastu zostawcie plac na Koszykach, jako miejsce dla przyszłych wystaw i dla rozległego, a pięknego parku.“

Nie przeczymy, że propozycja jest dobra—dla miasta, lecz dla zmordowanych pracą studentów, co za olbrzymia przesterżnia do przebieżenia zostaje od gmachu uniwersyteckiego do klinik, mających stanąć na polu mokotowskim. Zdaje nam się, że projektodawcy nie zwrócili na to uwagi, a jaka to strata czasu dla uczącej się młodzieży odbywać kilkowiorstowe przechadzki podobne, bez względu na zawieje śnieżne lub deszcze jesienne. Nie możemy dokładnie oznaczyć odległości między uniwersytetem, a polem mokotowskim, lecz ażeby tę przestrzeń, żołnierskim krokiem tam i nazad przebyć, potrzeba, co najmniej—dwie godziny czasu. Zyskać więc może miasto, mając szpital hen, daleka za mury wyrzucony; zyskać może spacerująca publiczność, mając park piękny na placu wystawy, lecz, kto wie, czy zdyszane płuca ślęczące nad książkami młodzieży, jaką nie jękną skargą. Gdyby, nie przytoczone wyżej uwagi p. Lindley'a, Folwark Świętokrzyski, jako nieco bliżej znajdujący się krakowskiego-Przedmieścia (choć zawsze daleko, ze względu na uniwersytet) byłby najodpowiedniejszym miejscem dla klinik, lecz pole mokotowskie, ze

względów wyżej przytoczonych, zdaje się nam, że jest miejsce zbyt już oddalonym.

Powiedzieliśmy już nie raz, że u nas projekta przeróżne rosną, jak grzyby po deszczu. Co, a co, a nie brak nam daru gadania. On nam pozwala przesłuchanie stawiać zamki na lodzie, na złocie wrzecionie związać nici tężowe i o lepszym jutrze rozkosznie marzyć. My roimy—a tymczasem ktoś inny plon naszych marzeń zbiera. Bodaj, ażeby się tak nie stało i że sprawa *orkiestry warszawskiej*. Zrodziła się w głowach naszych myśl bardzo dobra utworzenia *własnej* orkiestry. Na razie zdawałoby się, że to nie jest tak zbyt trudną rzeczą, sił miejscowych jest sporo, ochotników nie brak, kapelmistrzów umiętnych nie urzęba byłoby także ze świeczką w dzień biały szukać. Radość zapanowała w sercach poczciwych, bo, mimo przyzwyczajenia naszego pod niebiosą wynosić rzeczy obce, a swoje przez nogę traktować—Namysłowski, Konopasek, Pilecki, mówili coś przecie o możliwości wytworzenia takiej muzyki. Aż oto nagle ten i ten bąknął, że całokształt orkiestry możeby się i wytworzył, ale dyrygujących stanowczo nie znajdziemy. Znalazłaby się wprawdzie i spora może liczba miejscowych artystów, którzyby umieli przed pulpitem la-sieczką machnąć, ale — (przekłete *ale* wszędzie się znajdzie) ten, stałego miejsca w szkole muzycznej porzucić nie może, ów zajęty jest tworzeniem arcydzieła, tamtemu znów inne przyczyny przeszkoda stoją. Mówili tak wprawdzie nie sami artyści, lecz za artystów mówiono, więc — że sił swojskich zabrakło nagle, wypłynęła rada, ażeby, zrzuciwszy pychę z serca, wezwać *maestra* z zagranicy, któryby stanawszy na czele naszej orkiestry, doprowadził ją do należytego porządku. Jak tam radzono i mówiono—mniejsza, lecz oto zebrał się komitet, ażeby ostatecznie coś postanowić w kwestyi utworzenia stałej orkiestry warszawskiej.

— A! jest już komitet—to dobrze!
— A cóż on robi?
— Radzi.
— Bardzo pięknie!— A teraz co parabia?
— Radzi...
— Chwała Panu Bogu, widocznie, że nie zasypia sprawę.—Cóż obecnie o komitecie słyhać?
— Radzi zawsze...
— Ha—na pazury wziął się, będziemy mieli orkiestrę...
— No Boga! a toż co znów za wiadomość?...
— Jaka? gdzie?...
— Siądź, przyjacielu, patrz i czytaj... Drukowane czarno na białym. Przetrzyj okulary i czytaj.— Ot, tu—mały wyjątek z dziennika.

„Kiedy posiedzenie po posiedzeniu komitetu powołanego dla ustalenia bytu orkiestry upływa na niczem, a w chwili obecnej, z powodu wyjazdu wielu członków, zupełnie zostało przerwane—jeden z dyrektorów bawiących u nas orkiestr zagranicznych, zapewniwszy sobie pomoc kapitalistów, prawdopodobnie, również niemiejsowych, zabiera się do dzieła, które, jeśli dojdzie do skutku, wprowadzi wprawdzie organizację koncertów w Warszawie na nowe tory, ale też jednocześnie zagrozi poważnie istnieniu orkiestry warszawskiej. A mianowicie—jak głosi fama—dyrektor ten zamierza nabyć dom przy rogu ulicy Foksał i Nowego-Świata i urządzić w nim piękną hallę koncertową, której istotnie taki brak czuć się daje coraz bardziej w Warszawie. Obok halli, przeznaczanej na koncerty zimowe, ma się znajdować ogród na użytek letni.“

I to ma sobie zrobić, jakiś Niemiec czy Francuz, Czech czy Węgier.

No a my?

Myśmy już zbudowali byli wspaniałą salę koncertową przy ulicy Karowej, słyszeliśmy tam Paderewskich i nie Paderewskich... ale, któż temu winien, że zanim jakkolwiek bądź sen nam się wyśni, ktoś pochwyty te senne obrazy nasze i—zanim rozbudziły się—da im rzeczywiste kształty i ciało prawdziwe? Może tak będzie i z tą orkiestrą warszawską, a może i nie. Kto wie, czy ten pan dyrektor nie jest tylko strachem na wróblu, budzikiem, by śpiący na baczności się mieli? Choć, między nami mówiąc, jest tak przyjemnie, gdy inni za nas robią. Większe już stokroć rzeczy robiono za nas, a myśmy sobie spali. Prawda, że czasem bolesne roz-

budzenie się bywało, to też żałowano przespanych dui, marzeń rozwianych, spalonych poza sobą mostów. Zrywano się więc do roboty, ale—za wielką była siła nawyku. Roili się znowu marzenia i sny—lecz pracy nie było.

W tem do drzwi „Stuk! powoli.

— Kto tam?

— Otworzyć proszę!...“

Czy pamiętacie zakończenie tej bajki Kraszewskiego: Dziad i Baba? Zapóźno dziadowi pod ławę, a babie za piecem chować się było—gdy ten stuk w drzwi zakołatał. Zapomnieli dziad i baba o kominie, którzydy ta gościa wzięła.

Czy umilknie wreszcie burza przeciwko przytułkowi poprawczemu dla dziewcząt w Puszczy?

Zdaje się, że tak być powinno po nadesłanem objaśnieniu przez Zarząd Towarzystwa osad rolnych „W sprawie Puszczy.“

W pogawędkach naszych nie dotykaliśmy tego przedmiotu, pragnąc ażeby rzecz się dostatecznie wyświetliła, bo już z natury jesteśmy skłonniejsi do wiary w dobro niż zło, i chętniej ucho damy każdej uczciwej sprawie, niż różnym brudom życia ludzkiego. Ostatnimi czasy, dużo krwi społeczeństwu naszemu popsuka wiadomość, że przytułek dla moralnie zaniedbanych dziewcząt w Puszczy, pod złem znajduje się kierownictwem, że grozi publiczny chybia cel, że zakład, wbrew swojemu założeniu, demoralizująco wpływa na powierzone swej opiece wychowanki, czemu oczywiście winien główny zarząd, patrzący przez palce na złe postęпки przełożonej zakładu, a tem samem tolerujący zło. Oskarżenia było zbyt ciężkie, opinia publiczna za nadto wzburzona, ażeby to wszystko milczeniem pokryć było można. To też „nie lekceważąc żadnego głosu, w sprawach Tow. podniesionego, chociażby wydawał się bez podstawy—i, chcąc się w każdym razie zapewnić, ile w zarzutach czynionych mogło być uzasadnienia: delegacya komitetu na posiedzeniu w d. 13 kwietnia odbytem, postanowiła zaprosić Kuratora osady studzienickiej, właściciela Woli Pękoszewskiej, członka komitetu Tow. p. Jana Górskiego, aby za przybraniem grona osób poważnych i wiarogodnych, w sąsiedztwie Puszczy zamieszkałych, przeprowadził zbadanie na miejscu wszelkich okoliczności i szczegółów, dotyczących się zakładu, a przedewszystkiem takich, któreby o jego sposobie prowadzenia, i zachowaniu się przełożonej, urzędniczek, wychowanki i osób styczność z zakładem mających, dały dokładne przekonanie.“

Objaśnienie Zarządu Towarzystwa osad rolnych zbija zarzuty, mające niby jakąś podstawę, punkt po punkcie, insynuacje zaś, podejrzenia gołosłowne i złośliwe tendencje, zostawia na uboczu. Punkt 1. tyczy się samej przełożonej, która przyjęta do zakładu została na skutek rekomendacji znanych i szanownych osób w Warszawie. Wiadomości złych o jej przeszłości nie odebrano żadnych, obowiązki zaś swoje w Puszczy—pełniła dobrze.

2-gi zarzut: dla czego przełożona pobiera nie rs. 300, jak etat ustanawia, lecz rs. 700 pensyi, upada sam przez się, gdy—zważymy, że: pierwotny etat dla przełożonej był oznaczony 300 rs. i *stół z kuchnią zakładu*, w r. zaś 1894 wszystkim urzędniczkom na wzór Studzienic, dołączono stołowe do pensyi, co wytworzyło etat dla przełożonej rs. 450. Obecnie przełożona w ogóle pobiera rs. 600 w czem się już mieści wynagrodzenie za stół, którego nie otrzymuje w naturze.

3. Fałszywym jest twierdzenie, że przełożona utrzymuje osobny ekwipaż kosztem przytułku. Zarówno przełożona w Puszczy, jak dyrektor zakładu w Studzieniu, mają prawo do korzystania z zaprzęgu zakładowego.

Jednym z najcięższych zarzutów robionych przytułkowi, jest fakt rzucania listów romansowych przez niektóre dziewczynki chłopcom znajdującym się w kościele, co dało powód do sądów ostrych, i twierdzeń, że zakład sieje zgorszenie. Na to brzmi słusznie odpowiedź, poczynająca się od pytania: —Któż to są te dziewczynki i po co je do Puszczy przysyła? Są to dziewczyny złe, z wadami, z narokami, które mają być poprawione. Czy więc dziwne, że popełniają *jeszcze* przewinienia? Gdyby to były panny cnotliwe pięknie wychowane, toby ich w Puszczy nie było.“

I tak dalej, zarzut każdy znajduje stosowną odpowiedź, odparowane są cięcia, ostre, sprostowane fałsze. Zdaje nam się, że po tak kategorycznej odpowiedzi na czynione zarzuty zakładowi poprawczemu w Puszczy—smutna sprawa umorzona być powinna.

Ale jeżeli objaśnienia Zarządu Osad Rolnych (w malutkiej tu powtórzona część) są prawdziwe—jakże wyjdą oskarżyciele? Dwóch prawd niema—nie powinno więc być i dwóch sądów. Winowajca gdzieś być musi w Puszczy lub za jej obrybem.

Zobaczmy gdzie i jakie ostatnie padnie słowo.

Ruchliwa zawsze Warszawa, od tygodnia ruchliwszą się staje. Długi czas trwająca niepogoda i deszcze nieustanne prawie, wielu letników przygnały, trochę wcześniej nawet, w mury naszego miasta.

Czy byli zadowoleni z pobytu swojego na willegiaturze?

Nie wiem—ale dość skrzywione miny mają.

Tu i tam dają się słyszeć wyrzekania na niewygodę mieszkań, drożyznę i brak produktów, na znużenie i trud. Znana piosenka, o której prawdziwości nie wątpię—a jednak, aby tylko drugiego lata doczekać a powtórzą się te same gromadne wyjazdy z Warszawy, i te same—jeremiady.—Prawdą jest, że u nas brak wygodnych miejsc dla letników. Częstokroć źle opatrzona chata chłopska, w sąsiedztwie chlewków i obór, służy za przytułek spragnionym powietrza mieszkańcom miast. To pragnienie jednak silniejszym jest od spodziewanych niewygód.

Bolesnie dotknięci zostaliśmy stratą, jaką ponieśliśmy w osobie ś. p. księdza prałata Rocha Filochowskiego, sędziego surgoata konsystarza warszawskiego.

Zmarły w Piaskach pod Ostrołęką, w swej parafii rodzinnej, ś. p. Roch Filochowski urodził się d. 16 sierpnia 1838 r. Ukończywszy szkoły w Łomży, wstąpił do seminarium, następnie do akademii duchownej w Warszawie, którą opuścił w r. 1864 ze stopniem kandydata św. teologii. Był proboszczem parafii Raciąż, później kanonikiem katedry wrocławskiej, następnie warszawskiej a w r. 1895 prałatem kapituły metropolitalnej i sędzią surrogatem konsystorza. Nieboszczyk należał do liczby tych ludzi, którzy wzbudzają dla siebie cześć i poszanowanie. Na polu literackim odznaczył się, jako pisarz dziełek popularnych dla młodzieży.

Miałem już zakończyć pogawędkę z wami, szanowni czytelnicy, gdy oto dzwon pogrzebowy uderzył poraz drugi i pióro w rękę moim zatrzymał. Czyż to znów szczątki ziemia ma przyjąć do łona swojego; któż to znów opuścił mieszkanie doczesne i poszedł w krainy nieznane?

Umarł—Adolf Pawiński.

Kto znał bliżej nieboszczyka, komu nieobce były naukowe jego prace, ich doniosłość i znaczenie—ten tylko pojmie wielkość straty, jaką ponieśliśmy. To też wiadomość o śmierci ś. p. Pawińskiego bolesnem echem odbiła się w sercach wszystkich jego rodaków. Zgon ten zrobił na nas wrażenie, jakby w opanowanym obozie nieprzyjaciół dokuczliwą szturbę uczynił. Zgaś mąż pracy i wielkiej użyteczności, zeszedł ze stanowiska człowieka, którego—bodaj—czy drugi podobny mu zastąpi. Nigdy może nie zlorzeczyliśmy tak śmierci jak po tym zaborze, rzadko jaki kamień grobowy takim ciężarem pierś naszą przywalił.

Ś. p. Adolf Pawiński, znakomity badacz dziejów, profesor warszawskiego uniwersytetu, członek krakowskiej akademii umiejętności i współwydawca „Ateneum“, od kilku miesięcy złożony ciężką chorobą, zmarł d. 24 sierpnia w zakładzie leczniczym w Grodzisku pod Warszawą. Ur. w r. 1840 w Zgierz, nauki gimnazjalne pobierał w Piotrkowie, studia zaś uniwersyteckie ukończył w Jurjewie ze stopniem kandydata filozofii. Getynga dała mu bilet doktora filozofii, uniwersytet petersburski stopień doktora nauk historycznych, po czem objął docenturę w b. Szkole Głównej w Warszawie a następnie katedrę profesorską historii w uniwersytecie. Od roku zaś 1875 został mianowany naczelnikiem archiwum akt dawnych Królestwa Polskiego.

Jako uczony, Pawiński największe położył zasługi, do których oceny miary prawie nie masz, na polu badania dziejów naszych. Jako historyk—wydobywał na jaw fakta z różnych epok i przedsta-

wiał je w świetle niepodważanej prawdy, nie ulegając ni nastrojowi chwili, ni schlebając dumie narodowej. Nie stawiał siebie nigdy na stanowisku sędziego, który zapomina o przestrzeni czasu dzielącego fakt dany od chwili obecnej. Jeżeli wydawał sąd, to sąd zgodny z współczesnością opowiadanych wypadków. Inni byli ludzie i inne umysły niż dzisiaj, — z naszego stanowiska nie zawsze możemy patrzeć na przeszłość.

Pomijając wielką mnogość prac nieboszczyka — niezatarte wspomnienie sobie zostawił przedsięwzięciem wydawnictwa „Źródeł dziejowych,” w których zebrał olbrzymie skarby dotyczące się rozwoju cywilizacji w Polsce.

Dnia 28 Sierpnia odbył się pogrzeb Pawińskiego przy ogromnym udziale publiczności, literatów i młodzieży uniwersyteckiej; nad grobem przemawiali: T. Korzon w imieniu Akademii umiejętności, w jej też imieniu złożył wieniec wspinały na trumnę zmarłego — później Zakrzewski, uczony Lwowski z zagranicy na pogrzeb przybyły i Rembowski. Mówcy w podniosłych słowach zaznaczyli działalność nieboszczyka, żał szczery po jego stracie i nadzieję, że siew przezeń zasiany w rosnącym pokoleniu bujny plon wyda. Mowom towarzyszyła uroczysta cisza — mimo olbrzymiego tłumu porządek był wzorowy, płakało tylko niebo dużymi kroplami deszczu.

??

Pod wrażeniem muzyki.

Słyszałem pieśń, a z pieśnią tą
Rozkoszy płynął czar —
Zbudzony z snu cudowną grą
Świat drogich wstawał mar.

I duch mój wnet uleciał gdzieś
W przeszłości złotej ton —
O, nieś go tam, o, pieśni, nieś
I nutą wspomnień dźwięł!

Daj skrzydeł mu by lecieć mógł,
Chyżości własnej daj,
By, błądząc wśród nadziemskich dróg
Umarłych zwiedził kraj...

Ach, widzę już: zasłony cień
Z omszonych grobów spadł —
I zginął mi dzisiejszy dzień:
W przeszłości płynę świat!

Już jestem tam — ach, jestem tam
W tym kraju wolnych dusz,
Gdzie każdą twarz tak dobrze znam,
I każdą witam już,

I zbliżam się... O, maro, stój!
O, nie schodź w przeszłość znów!...
Lecz scichła pieśń, znikł duchów rój,
Wróciłem z krain snów.

Mieczysław Gliński.

Promyk szczęścia.

URYWEK Z ŻYCIA,

skreślił

JAN KENAJ.

(Dalszy ciąg).

II.

— Panie Marzejski! — zadzwieczało młodemu człowiekowi w uszach. — Panie Marzejski! — wstawaj pan! to już Katowice — granica pruska! Panie! panie!

Malarz zbudził się wreszcie i spojrzał zaspanemi oczyma w dół.

— Ah to pan! — rzekł zobaczywszy matkę Janki — więc Janka to nie sen! — pomyślał z radością i zeskokczył z góry.

— Dziękuję pani, — rzekł wesoło, — że mnie pani zbudziła, byłbym się tu został, albo... ale to trzeba się śpieszyć, bo to rewizja — panie pozwól, że im pomogę z temi nieprzyjemnościami.

— I owszem — ale tymczasem oddaj pan paszport, o który się ten pan dopomina dość natarczywie, — dodała wskazując żandarma we drzwiach.

— Aha — paszport... proszę. A teraz możemy wyjść z rzeczami. Niech pani pozwoli tę torebkę — zwrócił się do Janki, która stała obok, szczerze okręcona szalem. — Jakże się pani czuje? — zapytał myśląc, że tak wypada traktować jej płacz niedawny.

— Ja? dziękuję panu... lepiej, — odparła odwracając wzrok, — wychodźmy prędzej, bo to coraz więcej ludzi będzie na tej komorze...

I ruszyła ku drzwiom.
Było w tej odpowiedzi coś tak szczególnego, że Marzejski uczuł lekki dreszcz. Czy to „lepiej” było konwencyonalną odpowiedzią, czy też — prawdziwą? Lecz w tej chwili wyszli wszyscy na jasno oświetlony dworzec, gdzie panował zamęt nieopisany.

Uwaga jego skierowała się na to tylko, aby torować drogę wśród tłumów i ochraniać od uderzeń posługaczy, którzy chociaż wciąż wrzeszczeli „na bok” potracali kuferkami wszystkich po drodze. Im bliżej komory, tem większym był ścisk i hałas, wrzaski i potrącanie. Trzeba było mocno trzymać się na nogach, aby się nie przewrócić wśród tego zamętu, gdzie biegano i tłoczono się we wszystkich kierunkach. Więc Marzejski coraz częściej musiał okazywać Jance swoją troskliwość — znacznie większą niż tego prosta grzeczność wymagała. Przytem bardzo serdecznie zadawał jej pytanie, czy jej dobrze, czy czego nie potrzebuje i w ogóle obchodził się z nią jak z osobą bardzo mu drogą. Z początku tak był zajęty torowaniem jej drogi, że nie widział zupełnie, jak ona to jego postępowanie przyjmowała. Ale gdy znaleźli się na komorze, zauważył nagle, że była ogromnie rozdrażniona i odpowiadała na jego pytania jakby z przymusem — nawet niechęcią, a raz wreszcie, gdy chciał podać jej jakiś już zrewidowany koszyczek, rzekła prędko, że i sama go jeszcze udźwignie i w tej chwili odwróciła się, mówiąc coś do matki.

Tem on już nie tylko, że przestraszył się, ale zrobiło mu się dziwnie przykro — tak przykro, że ze zdziwieniem zauważył, jak go ta dziwna Janka obchodzi...

I choć marzył o niej niedawno jak o ukochanej, nie zdawał sobie jeszcze z tego sprawy — dopiero teraz zdało mu się jakby wielkie światło oblało jego myśli — i zdało mu się, że ją już kocha... opanowało go ogromne wzruszenie... i na widok jej niczem nie wytłomaczonego rozdrażnienia uczuł do niej wielki żal — chciałby był nawet zaraz spytać się jej szczerze i prosto dlaczego ona tak dziwnie z nim postąpiła, ale przypomniał sobie, że obiecał tym paniom pomódz w rewizji bagażu, więc przyspieszył w tamtą stronę, postanawiając pomówić z nią otwarcie przy sposobności. Ale gdy ją ujrzał

znowu, zauważył, że patrzała na niego dziwnie nieśmiało — jakby z prośbą — chwilami nawet oczy zachodziły jej łzami i wtedy widział, jak zagryzała wargi, by się nie rozplakać lub nerwowo ścisnęła w rękę koszyczek, czuł, że gdyby tylko wspomniał o ich niedawnej rozmowie — takiej sardecznej — to z pewnością by się rozplakała — więc milczał — bo i na komorze nie było miejsca po temu — tylko rozdrażnienie jej poczęło mu się udzielać i z niecierpliwością i niepokojem zarazem począł oczekiwać tej chwili, gdy się jej spyta, dlaczego ona spoczątku tak dalece inną była dla niego. Tymczasem próbował z nią rozmawiać choć banalnie, ale Janka mu z takim wysiłkiem odpowiadała, że począł wątpić, czy porozumienie jest w ogóle możliwem między niemi — i ogarnął go znowuż smutek i żal. Zdało mu się teraz, że dałby Bóg wie co za jej jedno przyszańsze słówko, a gdy wspomniał jej rozmowę o Frągmencie — gdy wspomniał z jakim zapałem opisywała górski krajobraz — zdało mu się, że ona wyrząda mu teraz ciężką krzywdę — jednocześnie czuł w duszy względem niej bezmierną litość — czuł, że musi być bardzo nieszczęśliwa — i to wszystko czyniło go coraz bardziej rozdrażnionym i niespokojnym.

To też ucieszył się niezmiernie, gdy na stacyi rozległ się dzwonek wzywający do wsiadania. Wszyscy skwapliwie ruszyli ku drzwiom i wnet owionął ich chłód poranny.

Było już szarawo, ale latarnie paliły się jeszcze, rzucając żółtawe światła w stalowe tło krajobrazu, na którym czerniały wagony i w oddali, we mgle odcinały się niewyraźnie drzewa.

Zygmunt szedł z Janką naprzód, a za nimi matka i posługacz. Ale wkrótce ci ostatni wrócili się po coś do sali — i przy pociągu malarz znalazł się z Janką sam na sam.

Serce zaczęło mu bić gwałtownie. Podawał jej rękę, pomagając wejść na stopnie wagonu i czuł że wzruszenie zapiera mu oddech.

— Panno Janino, — wyjąkał wreszcie, jej ręka drgnęła w jego dłoni — co pani jest? Pani coś dolega... pani się coś stało...

— Mnie?... mnie... — odparła ze spuszczeniem oczami i chciała odejść. Ale on zatrzymał ją przy wejściu do korytarzyka.

— Dlaczego pani nie chce mnie słuchać? — spytał gwałtownie, — dlaczego pani tak się zmienia? Pani rozmawiała ze mną tak... jak siostra — pani była dla mnie taka — dobra — dlaczego pani...

Ona spojrzała na niego z takim bólem, że umilkł i patrzył na nią ze zdumieniem i strachem. A ona mówiła z wysiłkiem, chwytając otwartymi ustami powietrze:

— Zaręczam panu... niech pan mi wierzy... że ja mam dla pana prawdziwy... prawdziwy szacunek... ale...

Nagle rysy jej złagodniały — oczy zasły łzami — ścisnęła go silnie za rękę i rzekła cicho — z namiętną prośbą w głosie:

— Niech pan o tem nie wspomina... dobrze? Zygmunt chwycił coś za gardło i pochylił ku jej rączce, którą zaczął całować gwałtownie.

Janka wyrwała mu ją i uciekła do wagonu, a on stał jak wryty patrząc za nią i nie mogąc zebrać myśli.

— A gdzie Janka? — krzyknął mu nagle ktoś nad uchem.

Obejrzał się i zobaczył jej matkę.
— Poszła do wagonu, — odpowiedział oprzytomniawszy.

— A ja się wróciłam, bo w sali została ta butelka — wie pan, z tem winem co to Janka pije. Szukałam z pół godziny, nareszcie wie pan gdzie była? na stole pomiędzy butelkami restauratora! I jeszcze nie chcieli mi jej wydać, dopiero... Ale gdzie państwo siedzą?

— My... — zaczął Marzejski.

— Tu, mamusiu, — odezwiała się Janka, wychodząc z jakiegoś przedziału — tu nikogo nie ma.

— Chwała ci Panie! Wnoś że prędzej rzeczy — prędzej — prędzej! — wołała zniecierpliwiona, bo posługacz utknał z pakunkami we drzwiach i nie mógł się ruszyć a za nim szedł majestatycznie jakiś gruby jegomość w towarzystwie równej mu tuszaj osoby płci żeńskiej. Korytarzyk zacieśnił się jeszcze bardziej, gdy Zygmunt zaczął pomagać po-

sługaczowi wnosić pakunki. I matka Janki czyniła to z drugiej strony, wymyślając na cały głos.

Gruby jegomość chciał przejść.

— Mein Herr,—zaczął—bitte sehr.

Ale Zygmunt naumyślnie gmatwał robotę przy pakunkach przeczuwając farsę.

— Mein Herr,—powtórzył Niemiec z godnością.

— Mein Herr! — rozległ się za nim dyszkant jego połowicy.

— Papol — zaczęło wrzeszczeć jakieś dziecko.

Zygmunt udawał, że nie słyszy.

— Mein Herr! verstehen sie nicht?!

— Ach was für... — zaczęła jejmość.

— Papol papol!

— Mein Herr! Sind sie... was ist das?! viel leicht... pan! pan!

— Co pan sobie życzy? — spytał malarz grzecznie i przestał pomagać posługaczowi.

Rozłoszczony Niemiec zaczął go objaśniać napół po polsku, że chciałby przejść, Zygmunt odpowiedział, że niema nic przeciwko temu—owszem, bardzo prosi—ale zostawił mu miejsca tyle, że przez nie i dziecko by się nie przecisnęło. Na to Niemiec w pasy zaczął wrzeszczeć coś na całe gardło, wymieniając przytem kilka razy wyraz „konduktor“ a Zygmunt nie wytrzymał i parsknął mu w twarz śmiechem.

To już było nad siły flegmatycznego niemca, obrócił się z trudnością w ciasnym korytarzyku i chciał biedz gdzieś, po sprawiedliwość, ale natknął niepokonalną zaporę w osobie swej oburzonej małżonki, za którą jej posługacz zwał cały stos kuferków.

— Verflucht!! — wo gehst du zum Teufel!! — zaczął wrzeszczeć popychając przed sobą wylekzioną damę, a ona cofając się przed walecznym mężem nastąpiła na nogę dziecku, które zaczęło wrzeszczeć w niebogłosy.

Rozległ się drugi dzwonek.

Niemiec stracił przytomność, odwrócił się znowu i chciał szturmować sobie utorować drogę, ale zdumionym jego oczom przedstawił się tylko pusty korytarz.

Za zamkniętymi drzwiami przedziału rozlegały się wesołe śmiechy. Zygmunt był uszczęśliwiony, że mu się farsa udała, matka Janki śmiała się na całe gardło i Janka nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Widząc to Zygmunt wpadł w doskonały humor i zaręczał, że teraz z pewnością żaden szwab tu nie wlezie. Na to Janka zauważyła, że i tak wszystko jedno, bo już świta i miejsca nie potrzeba—nie będzie nikt spał—i mówiła to nietylko swobodnie, ale nawet wesoło, pokazując w stronę okna, za którym widać było, że niebo rzeczywiście już na wschodzie różowieje.

Zygmunt patrzył na nią zdziwiony, ale ona rozweselona zauważyła, że lampka nawet już niepotrzebna była, jakby coraz bledsza obok dziennego blasku i zaczęła się cieszyć, że zobaczą śliczny wschód słońca—a ona taka ciekawa tego wschodu, tylko dwa razy go widziała—już dawno kilka lat temu—także w drodze—i nagle posmutniała.

Ale gdy posługacz wszedł i zgasił lampkę, a wagon napełnił się niepewnym światłem dziennym, twarzyczka jej rozjaśniła się znowu, zaczęła mówić z błyszczącymi oczyma:

— Ah, żebyśmy już prędzej wyjechali! Tutaj stać zaślania połowę widoku, a między wagonami wydaje się jakoś duszno w porównaniu z tą świeżością, jaka musi panować w szeregach polu—w mgłach porannych. Prawda panie? Ah, jaki pan zabawny z tą swoją zdziwioną miną. Niech pan się ze mnie nie śmieje, że ja tyle gadam, ale to tak rzadko zdarza się sposobność widzieć coś podobnego... Ah, czemuż oni nie jadą? Jaka zieloność musi być tam dalej pyszna i świeża! prawda panie? Ah, co to? jedziemy już? Ah! to pysznie! pysznie! Ah mamusiul! mamusiul! już jedziemy! Jak to dobrze! Ah mamusiul! to pysznie! wołała i zarzucała matce rączki na szyję, zaczęła ją ścisnąć z całej siły i całować, a Marzejski porwany jej radością, wybuchnął głośnym śmiechem wraz z jej matką.

Janka znowu podbiegła do okna.

— Ah, widzi pan jaka mgła—biała—puszysta—ruchliwa... pamiętam, na jednym obrazie pana to jest taka. Wie pan—wie pan—co to—rzeczka łączką płynie... za nią lasek—taki świeży—jakby

tylko się wykapał w tej mgle co na polach leży... Widzi pan, zaczynam nawet wierszem mówić. Ale, może pan nie wie? ja pisywałam—czasami... i właśnie te...

Spojrzała na niego zarumieniona i urwała.

— Kiedyż pani wiersze pisywała? — spytał z uśmiechem Zygmunt i na widok jej mieniającej się ustawicznie czarującej twarzyczki ogarniała go coraz bardziej jakaś radość, która go w gardle dławiała.

A ona spoglądała od czasu do czasu na niego z niezrównanym wdziękiem, pełnym nieświadomej kokieteryi i mówiła, odgarniając ustawicznie swoje niesforne włoski z czoła.

— Pisywałam, bardzo często... po każdym silniejszym wrażeniu—kiedym widziała jaki piękny widok... piękny obraz... Raz nawet to jest bardzo często jak był obraz... w którym było więcej treści... jednym słowem—pana obraz! — rzekła z wesołą determinacją—to pisywałam nawet dużo... ale czasem, na przykład jak był Fragment—to były smutne wiersze—o! tak.

Cień padł na jej różową twarzyczkę, na to wspomnienie. Siadła znowu przy matce zamysłona.

A Marzejskiego brała chwilami ochota porwać ją w ramiona i ucałować jej różowe, pełne niezrównanego wdzięku usteczka—to znowuż pragnął, by mógł siedzieć obok niej jak matka teraz, tulić jej główkę złotą na piersi, szukać jej łezki—rozumieć niepokoję... ale, co bym dał za to, by odegnąć od niej tę zmore, która mąciła jej każdą jaśniejszą chwilę!

W tem coś skierowało jego wzrok w stronę okna.

— Ah, jakież to śliczne! — wykrzyknął — niech pani patrzy! prędzej, prędzej! bo jeszcze przejeździemy!...

Janka wahała się przez chwilę lecz wkrótce także podeszła do okna i wrażliwa jej twarzyczka rozjaśniła się z zachwytu—w wielkich jej oczach pojawiły się łzy.

— A co?! a co?! Widzi pani?! całe pola — jak okiem sięgnąć pełne tych mgieł różowych! i wszystko tak pięknie ujęte między te dwa ciemne pagórki! Ah, jak te mgły różowe rzucają się—kłębią—plączą! Jak one podnoszą się leniwie—coraz prędzej—coraz wyżej—ogarniają już te ciemne drzewa różowym tumanem przysłaniając całą przestrzeń pomiędzy pagórkami... Coraz to jaśniej—cały świat różowy—świeży! z lasu tylko kilka drzew widać! Zkąd się tyle tej mgły bierze—takiej czerwonej? bo ona teraz jest czerwona... Ah, widzi pani ten punkcik błyszczący, purpurowy między mgłami? Co to jest? coraz większy—zupełnie wygląda jak węgiel żarzący... rośnie—rośnie—o! już taki jak kula ognista... to słońce!... Mgły się rozstępują... Drzewa! widzi pani drzewa?! Jakież złote! zupełnie złote! jesienne. A tam z pod mgły wypłynęła świeża zielona łączka... Te krowy były w tej mgle czerwonej! A to się wykapały! Na słońce już nie można patrzeć. Ale za to tutaj! Widzi pani? na tym pagórku zostało jeszcze tyle białej mgły!... Jakie to zabawne!... oo... jak się ona rozdziera leniwie... zahacza o drzewa... już ulatuje w powietrze... coraz lżejsza—różowa... teraz złota... gdzieś do nieba...

I stali tak obok siebie jak brat z siostrą—ramię przy ramieniu—często głowa przy głowie—nie wiedząc o tem i nie czując zbliżenia—całą duszą oddani niezwykłemu pięknu, jakie przyroda tak hojnie przed niemi rozpostarła—złączeni wspólnym zachwytem—czystym jak samo piękno... a teraz, gdy to piękno mnożyło się ciągle, odkrywając naokoło coraz to nowe tajemniki—tę złotą chmurkę na tle błękitów nieba—to drzewko osypane złotem i brylantami rosy—to jakieś późnionie ognisko pasterskie w cieniu—wśród mgły—spojrzenia ich krzyżowały się w różnych kierunkach.

I zdarzyło się, że się oczy ich spotkały... drgnęły rozkosznie, zmieszaly się—rozradowały—i zatonęły w sobie—zamlone i błyszczące...

Janka odeszła ocieżała od okna i siadła obok matki. Oparła jej na ramieniu swoją złotą rozmarzoną główkę—i zdało jej się wtedy, że jest taką lekką mgłą, która ulatuje w niebo—złota—szczęśliwa.

Matka gładziła ją po głowie... A Zygmunt wodził za nią oczyma, pełnymi cichego, głębokiego szczęścia i czuł, że powiedzieli sobie już wszystko,

że jeżeli on nie kłęczy teraz u jej stóp i nie całuje jej rączek, by błagać o słowo wyznane oczami—to tylko dlatego, by nie przerywać jej skupienia—by nie naruszyć tej uroczystej chwili.

I dziwił się, że już nie chce całować jej ust i porywać w ramiona, że chętnie siadłby u jej stóp i patrzył w oczy—i czekał jej rozkazów—że najwyższem szczęściem byłoby czuć obok siebie to ukochane i kochające serce—i dawać mu szczęście.

I tylko czasem ucałować jej ręce, czasami mieć jej złotą główkę na piersi i ulatywać duchem w te nadziemskie krainy, gdzie przebywa tylko piękno i myśl!

Lecz co to? znowu jej twarz zachmurzona? Nie! oczy spotkały jego wzrok rozkochany—rumieniec znowu wrócił na jej twarz zbladłą chwilowo—uśmiechnęła się jakby z przymusem i przytuliła się mocniej do matki. A ona objęła ją zlekka, gładziła jej złotą główkę i pytała pieszczotliwie:—cóż to córce? co?

Janka za całą odpowiedź spoglądała tylko na nią, od czasu do czasu jakby zawstydzona, więc matka uśmiechnęła się i mówiła całując tę swoją pieszczochę z ogromną miłością:

— No czegoż się córka tak pieści? coż to takie? patrzaj no ja! jaki to mi kociak... No, córko, daj pokój, bo pan Marzejski będzie się śmiał.

— A kiedy mnie wolno... — odparła Janka grymasnie.

— Wolno, wolno—a kto ci to powiedział?

— Paniom wszystko wolno, — wtrącił Marzejski,—kiedy im z tem do twarzy.

— Mamusiul, a czy mnie do twarzy?

— Et, gdzieby tam tobie było do twarzy! Taka duża panna!

— O! ja wcale nie jestem duża! — zawołała Janka i chciała wstać, ale kołysania pociągu rzuciły ją dość gwałtownie napowrót na siedzenie.

— A co! a co! — zawołała matka ze śmiechem,—brawo! doskonale!

— Kto się poniża, będzie podwyższon, — zaczął Marzejski patetycznie.

— Tak, tak, śmiecie się ze mnie państwo, a niechno pan poprobuje wstać! Zobaczymy wtenczas!

— Ja? po co? Ja nie chcę się chwalić!

— To ja się niby chwaliłam!... Chciałam właśnie pokazać, że nie jestem wysoka! otóż to jest świat! Ale, ale, pan powiedział, że kto się poniży, będzie podwyższon. Niechno pan to na poczekaniu zastosuje—tak jak ja!

— Jakto?

— Niech pan się poniży—jak pan tylko chce—to pana ta jakaś siła przeznaczenia sama pewno w górę podniesie!

— Chybabym wlaź pod ławkę?

— To niech pan wlezie!

— A wyciągnie mnie pani ztamtąd?

— Podług pana nie trzeba do tego obcej pomocy...

— Ale pani mówiła, że trzeba siły przeznaczenia... — odrzekł patrząc jej w oczy.

Na to ona zarumieniała się zlekka i zmieszana pogroziła mu paluszkami.

Nagle drgnęła i spojrzała na niego tak dziwnie, że ciarki go przeszły, potem twarz jej ocienił głęboki smutek—oczy jej zaszyły mgłą.

Marzejskiego porwała rozpacz. Chciał rzucić się jej do nóg i błagać aby mu wyznała co ją dręczy—lecz w tem przypomniał sobie jej niedawną prośbę, więc w tej chwili pohamował się i chciał prowadzić dalej rozmowę—udać że nie spostrzegł zmiany w jej twarzy, lecz czuł, że żaden wyraz nie przeszedł by mu przez gardło—niewiedziaby o czem mówić można w takiej chwili.

Nagle porwał go gniew. Póki tego będzie? Kiedyś musi się to wyświecić. Czemuż ona prosiła go, by o tem nie wspominał? Zdaje się, że im obojgu by łatwiej było potem ze sobą... I zadrżał. Potem? a czy on wie co będzie potem? Pojadą do Drezna... potem?! Czy mają się rozjechać w dwie strony świata?! Czy on by teraz mógł żyć bez tej kochanej głów, bez tych cudnych morskich oczu, bez tego jej wrażliwego na piękno kochanego serca? Spojrzył na nią z bezgraniczną miłością i nagle zauważył, że oni wszyscy milczą—że panuje tu jakaś ciężka, przygnębiająca atmosfera—gorąca i du-

szna—przecież nie tylko od tego słońca, które go grzeje przez okno tak niemiłosiernie. Pot wystąpił mu na czoło... co to będzie? — zapytał w duchu przerażony.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SIOSTRY NAPOLEONA.

II.

Paulina Borghese, Księżna Guastalla.

(1780—1825).

Paulina Bonaparte, poufnie w rodzinie Paoletta zwana, dostarcza Józefowi Turquan najwięcej biograficznego materyału.

Autorzy współczesnych pamiętników, łaskawi byli na tę śliczną, pełną uroku istotę. Stworzona na królowę salonów, rzadkim zaś zbiegiem okoliczności wyniesiona do godności książęcej i cesarskich tytułów, czyniła ona wszystko co mogła, by ściągnąć na siebie urazę mężczyzn, zawiść i obławę kobiet. W takich warunkach, niechętny rodzinie monarszej Turquan, obfite znalazł do badań swych żniwo. Samo zestawienie świadectw, drukiem już ogłoszonych, czyni z pięknej Paoletty barwnego kolibra, o strojnych piórach, a ptasiem sercu i mózgu. Nie trzeba jednak bystrego oka, by dojrzeć natychmiast, iż stronny monografista cytuje rozmyślnie ujemne tylko fakty, przemilczając o wszystkim, co by mogło rzucić na księżnę Borghese przychylniejsze światło.

W tych warunkach, nawet takie przykłady, jak bohaterstwo jej na San-Domingo, nikną w powodzi rysów szpetnych, składających się na sylwetkę kobiety: próżnej, cheiwej hołdów, pozbawionej wszelkich zasad moralnych, bezmyślnej, bezdusznej, a nieuznającej żadnych praw i żadnych ograniczeń.

Kapryśna, niepomahowana i rozrzutna natura jej, miała na swoje usprawiedliwienie dwie tylko rzeczy: nadzwyczajną piękność i jedno z najwyższych stanowisk w świecie. Być siostrą Napoleona Wielkiego, cesarza Francuzów, to szczyt, na którym mogła dostać zawrotu głowy ta istota śliczna, nieczem do podobnego wyniesienia nie przygotowana, nieczem nie uczona, która, nie słysząc nigdy o obowiązkach przez władzę nakładanych, bo władzy tej nie spodziewano się dla niej, rosła pod okiem pani Letycyi, jak kwiat dziki, słońcu i rosie pod opiekę oddany.

Nędza, doznawana w Marsylii, nie upokarzała jej i nie gnębiła. Młodość to cudowny talizman, który sam w sobie szczęście już nieraz stanowi. Piękna Paoletta, o drobniutkich, delikatnych rysach i oczach przedziwnej wielkości, „promenowała“ te oczy po Marsylii, z taką swobodą i dumą, jak gdyby już była królową. Żywości jej i humoru nie psuły ani dziurawe trzewiki, w których tkwiły bardzo małe nóżki, ani połatana suknia, kryjąca wysmukłą jej postać, ani zawadyacki, lecz lichy kapelusi, uwydatniający tylko niezmiernie bogactwo jej włosów.

Przeciwie, tam gdzie inna kobieta czułaby się zgnębioną i nieszczęśliwą, ona, figlarna, wesoła, z życiem i ogniem tryskającym z oczu, zdawała się mówić każdym ruchem:

— Patrzenie, czy nie wstyd wam, aby taka jak ja bogini, nie miała nic, w całym majątku, nad te nędzne łańcuchy?

No, i w rzeczy samej, zawstydziło się społeczeństwo francuskie, wysłało bowiem, — o czem już wiemy — dwóch młodych i wykwintnych przedstawicieli ludu: Barras'a i Fréron'a, w celu zbadania położenia rodziny Bonaparte. Jeden zaś z tych złotych młodzieńców, Fréron — o czem jeszcze nie wiemy — zakochał się na śmierć w przepięknej Paoletcie i, wskutek tego, przyznał matce jej dożywotnią pensję rządową.

Paulina liczyła wtenczas rok piętnasty. Jak widzimy przeto, wcześniej rozpoczęła zawracać głowę,

co, wzrastając z biegiem lat, musiało wyrobić w niej: zalotność, próżność, chęć strojów i nieczem nieokreślaną cheiwość hołdów.

Miłość wykwintnego trybuna ludu, wywarła wpływ stanowczy na całe późniejsze jej życie.

Fréron nie był pierwszym lepszym młodzikiem, którego możnaby wabić i odtrącać bezkarnie.

Syn słynnego krytyka i dziennikarza, Fréron'a, a chrzestny syn króla Stanisława, należał do mieszczańskiej wprawdzie, lecz bardzo starej i zamożnej rodziny. Mieć za przybranego ojca ukoronowaną głowę, a za przyjaciela i kolegę szkolnego Robespierre'a, to zaszczyty, które nie każdemu przypadają w udziale. O pierwszym z nich, umiał Fréron, bardzo przezornie mileć podówczas; drugim, to jest Robespierre'em, nie chwalił się później, gdy rewolucja ustąpiła przed potęgą cesarstwa.

Młody i bardzo uzdolniony pisywał on najwpierw w *Almanach des Musés*; później zaś, przerzucając się stanowczo do dziennikarstwa, założył „Mówcę ludu“, *Orateur du Peuple*, co wyrabiając mu odrazu stanowisko, zdobyło miejsce w Konwencji.

Taki zięć i szwagier był podówczas ideałem dla Bonaparte'ych. Pierwszy też Lucyan zachęcał gorąco wzajemną skłonność młodej pary.

Wypadki jednak szły bardzo przyspieszonym tempem. Z jednej strony, Napoleon zostaje generałem brygady, z drugiej, rosnący wpływ jego i rozwijająca się coraz silniej piękność Pauliny, podsuwają myśl rodzinie, że mogłaby ona lepszą już zrobić partycję. O rękę młodzintkiej dziewczyny, dziecka niedłwie, dobijają się: Junot, adjutant Napoleona, wielkie rokujący nadzieje, i pan de Lasalcette, obywatel z Delfinatu, zamożny, lecz trochę za podeszły wiekiem jak na piętnastoletniego podlotka. Wiek Paoletty i otwierające się przed rodziną całą widoki, kazały opóźniać chwilę jej małżeństwa.

Nie odrzucano więc Fréron'a, lecz i nie odpychano Junot'a, który, „z psią wiernością“, spędzał w Marsylii dnie całe u stóp dziewczyny, przywiązując się równocześnie coraz bardziej do jej brata, a swego wodza. Zabranym przez Napoleona do Paryża, stęskniony za uroczem zjawiskiem, noszącym miano Pauliny, prosi wreszcie generała o jej rękę.

— Paolette'a nie jest bogatą, — odpowiada generał Bonaparte, — aby więc rodzina dała ci przychylną odpowiedź, musisz wykazać środki do przyzwoitego utrzymania żony.

Junot przygotowany był na podobną uwagę; wyjmuje przeto list ojca, w którym tenże, przesyłając mu zezwolenie na związek z panną Bonaparte, nadmienia, że wprawdzie w tej chwili nie jest w stanie dopomódz mu pieniądze, lecz wzamian po śmierci swej zostawi na część syna, co najmniej 20,000 franków.

— A więc będę bogatym, — woła z zapałem. — Oprócz bowiem przyszłości mej, oprócz żołdu, otrzymam około tysiąca dwustu liwrow rocznej renty. O, generale, błagam cię, napisz do obywatelki Bonaparte, twej matki, że kocham jej córkę i proszę, aby mi ją oddała.

Jeżeli się zgodzi, ojciec mój ponowi oświadczy te, natychmiast a z wszelkimi należnymi honorami.

Napoleon nie dał żadnej stanowczej odpowiedzi.

— Nie mogę posłać listu takiego do mojej matki, — tłumaczył, bo wprawdzie będziesz miał kiedyś tysiąc dwieście franków renty, ale ich jeszcze nie posiadasz. Twój ojciec zdrow jest i silny, więc możesz długo na spadek ten poczekać. A tymczasem, nie masz nic, prócz rangi porucznika. Co do Pauliny, nie ma ona nawet i tego. Streszczając się więc: ty masz zero, ona — zero; dwa zera razem, wytwarzają — biedę. O małżeństwie nie może być narazie żadnej mowy. Czekajmy; może też nastąpią lepsze czasy. Och, muszę je zdobyć, choćby mi przyszło pojechać na inną półkulę. *).

I zdobył bezwzględnie.

W tymże jeszcze roku mianowany został generałem dywizyi, a następnie: drugim wodzem naczelnym armii wewnętrznej, pod bezpośrednimi rozkazami Barras'a. Wyniesienie to przyniosło dobrobyt całej rodzinie Napoleona i pomnożyło jeszcze liczbę ubiegających się o względy pięknej Paoletty.

— Obywatel Billon, — pisze w tych czasach Napoleon, do brata Józefa, — powołując się na znajomość z tobą, prosi o rękę Pauliny. Obywatel ów nie ma podobno majątku. Zastrzegłem się dzisiaj, w liście do mamy iż nie należy myśleć nawet o tem, zresztą, zasięgnę o nim bliższych wiadomości. *).

D. 18 *vendémiaire'a*, generał Bonaparte zostaje mianowany wodzem naczelnym armii wewnętrznej; zamieszkuje odtąd stale w Paryżu, zajmując pałac przy ulicy *des Capucines*.

Te nagłe, a pomyślnie zmiany w losach rodziny, nie zniechęcały rzecz prosta, Fréron'a. *L'homme du jour*, bohater dnia, jak nazywano podówczas Napoleona, mógł i dla młodego trybuna opatrnościowym być szwagrem. Niestety jednak, podczas gdy wpływy i dochody jednego rosły, drugi pozostał na tem samym miejscu. Fréron był stosunkowo ubogim, a rodzina Bonaparte, mając już jednego, nie nie znaczącego zięcia, pana Baciocchi, nie chciała urządzić w ten sam sposób, najpiękniejszej ze swych córek.

Widoki Fréron'a malały więc i upadały.

Innego wszakże zdania była Paoletta, na której życie stosunek do Fréron'a bardzo ważny wpływ wywarł. Oto wyjątek z jej listu, pisanego w lutym, 1796 roku,

„Nie opowiedziałam ci na pytanie, zawarte w przedwczorajszym liście, bo wolę uczynić to ustnie. Zresztą, wszak miłość moja stanowi z góry pewną dla odpowiedzi tej gwarancję. Tak, drogi Stanisławie, przysięgam nie kochać nigdy nikogo, prócz ciebie jednego: moje serce nie zna podziałów: oddało się tobie całe i na zawsze. Któż zdoła sprzeciwiać się związkowi dwóch dusz, które pragną tylko szczęścia, a znajdują je we wzajemnej miłości? Nie, mój drogi, ani mama, ani nikt na świecie, nie może ci odmówić mojej ręki.“

A dalej:

„...Dziękuję za pamiągę, jaką okazałeś, przesyłając mi promień swych włosów; łączę ci moje nawzajem. Nie czynię tego na wzór Laury, bo Laura i Petrarka, których tak często wspominasz, mniej byli od nas szczęśliwi. On umiał przynajmniej pozostać stałym, ale ta Laura!... Nie, mój najdroższy, nie!... Twoja Paoletta będzie cię kochać, z wiernością okazywaną przez Petrarkę dla Laury. Do widzenia, Stanisławie, mój serdeczny przyjacielu.“

Był to wstęp obiecujący, na dziewczynkę szesnastoletnią, — dodaje ironicznie Turquan. — Listy, per ty, a ty, pocałunki, promienie włosów, przysięgi wiecznej miłości, cała ta „petrarkyada“, co za znacząca zapowiedź na przyszłość!...

Co do nas, pozwalamy sobie odrębnego być zdania. Inne czasy, inni ludzie. Paulina była dzieckiem południa, zrodzonym oraz wzrastającym w burzliwej epoce rewolucyi. Nie trzeba więc dziwić się jej listom bo równocześnie, jak to zobaczymy poniżej, tętną one poezią i szczerością wielkiego uczucia. Jako żona, tak silnie ukochanego człowieka, byłaby może najzaciewnszą kobietą. Jeżeli jednak, rozdzieliwszy ich, w imię niskiej rachuby, wprowadzono dziecko to, na zawrotne szczyty, a zamiast wykształcenia, zamiast poczucia obowiązku i zasad honoru, dano jej, za jedyną busolę, nadzwyczajną piękność i poczucie władzy, to czyja wina, że na szczytach tych doznała hańbiącego zawrotu głowy?

Fréron pisze do generała Bonaparte list stanowczy, w którym, przypominając że mu oddawał obiecał rękę siostry, prosi o oznaczenie i przyspieszenie daty ślubu. Napoleon nie chce nawet słyszeć o nim. Przeciwnie, donosząc o tem matce, oświadcza się stanowczo przeciw małżeństwu; w korespondencji swej zaś do brata Józefa, nadmienia.

„Proszę cię o zakończenie sprawy zamążpójścia Pauliny. Nie życzę sobie weale, aby poślubiła Fréron'a. Powiedz jej to, a zarazem zawiadom o postanowieniu mem jej dawnego narzeczonego.“

Takież zlecenie otrzymuje Lucyan Bonaparte.

A tymczasem, młodzi ludzie, ufni w poprzednie przyrzeczenia rodziny, liczą dni dzielące ich od ślubu, rozkochana zaś Paoletta pisuje istne poematy

*) Duchesse d'Abrantés: *Mémoires*, t. I, str. 218.

*) *Correspondance de Napoléon*, t. I., str. 104.

do narzeczonego, prawdziwe hymny na cześć miłości ich, pełne subtelności uczucia, ognia i rzeczywistości z serca płynącej poezji.

„Marsylia, 14 messidor'a, IV-go roku.

„Wróciwszy ze wsi zastałam list twój czarujący, który mi wielką sprawił przyjemność. Przeczytawszy go, uspokoiłam się trochę; troska bowiem o ciebie sen mi odbierała, chociaż starano się tam zająć mnie, przeróżnymi rozrywkami. O mały włos nie straciłam twojej Paulette'y; wskakując bowiem na statek, wpadłam w wodę; na szczęście, pośpieszono mi szybko z pomocą. Nie h cię to jednak nie niepokoi, cały bowiem wypadek nie pociągnął za sobą żadnych złych skutków. Lucyan wyjeżdża w tych dniach do Paryża.

Sprawy ich wszakże idą coraz gorzej, zmniejszając nadzieję połączenia się na przyszłość.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kobieta brazylijska.

Brazylia jest może jednym z najpiękniejszych zakątków na ziemi i Europejczyk, który dłuższy czas przemieszczał w tej hojnie od matki natury we wszystkie powaby uposażonej krainie, nauczył się przynajmniej nie dziwić niczemu na świecie.

Brazylia była już nieraz przedmiotem dokładnych opisów. Podróżni, badacze, zbieracze, uczeni i zwyczajni turyści zjawiają się tam rok rocznie z zamiarem poznania stosunków.

Udaje się im to niestety niezupełnie; sieć kolejowa w Brazylii bardzo słabo jest rozgałęziona, a podróże wewnątrz kraju przedstawiają tak nadzwyczajne trudności, że przybysze ci ograniczyć muszą swoje studia tylko do wybrzeża. Prócz tego nie można kraju tego i ludzi zamieszkujących go poznać bez dokładnej znajomości języka portugalskiego.

Oto, co o płci pięknej pisze jeden podróżnik, który przypatrzył się dobrze kobiecie brazylijskiej.

Pan Julio Francisco da Silva, celnik, zwany przez przyjaciół krótko Chico Silva, zapraszał nas tylko i tak szczerze, byśmy go w domu odwiedzili, tak serdecznie i przekonująco przedstawiał nam, jaką radość wizytą naszą sprawimy Donnie Emilii, małżonce swojej, żeśmy w końcu postanowili przyjąć gościnne zaproszenie.

Dom, który Chico Silva z rodziną swoją zamieszkuje, wychodzi wąską swoją stroną na ulicę. Wszedłszy przez niskie dwuskrzydłowe drzwi, zamknięte tylko na drewnianą zasuwkę, stajemy w bardzo małym podsieniu i zwyczajem tu przyjętym dajemy znać o swoim przybyciu przez głośnie klaskanie w dłonie.

Za chwilę zjawia się nieodłączna w każdym domu, zawsze mniej lub więcej brudna, mulatka, otwiera drzwi od salonu i prosi nas byśmy weszli.

Wiedząc z doświadczenia, że i tu w Brazylii należy do dobrego tonu, kazać gościom czekać na siebie, nie dziwimy się wcale, że przez 10 minut nikt do nas nie wychodzi i koczujemy z tego czasu, aby się bliżej przyjrzeć salonowi, do którego nas wprowadzono. Zaraz na pierwszy rzut oka uwagę naszą zwraca właściwy zresztą wszystkim mieszkańcom w Brazylii zupełny brak portyer i firanek. Nawprost drzwi, przez które nas wprowadzono, stoi wypatana sofa, a nad nią wisi owalne lustro. Na prawo i na lewo od sof, ptopopadłe do niej dwa rzędy krzeseł, tworząc szpaler. Między oknami i drzwiami salonu kilka stolików marmurowych, na nich pstre wazon, lampa z rozbitym kloszem i rozmaite inne w niestetycznym nieładzie rozrzucone rupiecie. Wolne tu i owdzie miejsca przy ścianie zastawione są również krzesłami, kobiety tutejsze uważają bowiem za oznakę dobrego smaku nagromadzenie jak największej liczby krzeseł.

Wszystkie te meble pokryte są mniejszymi i większymi serwetami szydełkowej roboty, co sprawia,

że nie sposób usiąść, ażeby nie zrzucić z sąsiedniego krzesła pokrycia.

Ze nie brak tu krzeseł, kołyszących się jak w ogóle w całej Ameryce, rozumie się samo przez się. Nie ujrzyś tu jednak stołu, tego familijnego naszego stołu z lampą nad nim wiszącą, która łagodnym swem światłem tak czule zaprasza do wspólnej gawędki.

Kobieta brazylijska nie zniosłaby w swoim salonie obecności stołu. Spostrzegamy natomiast w jednym rogu jakąś wysoką, czworograniastą, od góry do dołu białymi serwetami obwieszoną skrzynię, odsuniętą nieco od ściany. W pierwszej chwili nie domyślamy się, co by to być mogło, przyjrzawszy się jednak bliżej poznajemy pianino, ustawione zwyczajem tutej zym klawiaturą do ściany, tak że dla grającego wązka tylko przestrzeń pozostaje.

Otwierają się wreszcie drzwi, prowadzące do dalszych apartamentów, i wchodzą przez nie pan Chico z małżonką, on w tualecie wizytowej, ona w gładkiej ciemnej sukni, w białym cennym koronkami obшитym staniku. Włosy ma skręcone w małe loczki.

Wskazują nam miejsce na sofie, sami zaś siadają na pierwszym krześle na prawo i na lewo. Felicia, brudna mulatka, roznosi wino i doskonałe ciasta. Rozmowa toczy się z początku dokoła polityki i przechodzi następnie na skandaliczną kronikę miejską, którą pani domu zna bardzo dokładnie i z naiwną szczerością o niej rozprawia.

Córeczka gospodarstwa Mariquinka, wymęczyć musi obowiązkowo na rozstrojonym pianinie jakiegoś walc, my wyrażamy w kilku komplementach nasz zachwyt i uważamy za stosowne pożegnać gospodarstwo.

Pani domu zaprasza nas jednak przedtem do obejrzenia innych apartamentów i prowadzi nas najpierw do pokoju—sypialnego, a następnie na werandę, która jest zarazem pokojem mieszkalnym i jadalnym. Musimy zachwycić się najprostszymi rzeczami i słyszeć po raz nie wiem już który, że wszystko jest do naszej dyspozycji. Nawet wązkie podwórko i mały wysokim murem otoczony ogródek musimy obejrzeć. Do kuchni tylko dona Emilia prosić nas nie śmie i ma rację, bo brud tam jest nie do wytrzymania. Po powtórnych komplementach i zapewnieniach zobowiązującej przyjemności, wydostajemy się wreszcie na wolność.

Jaki pan, taki kram, jaka gospodyni takie i gospodarstwo. Kobieta brazylijska posiada wszystkie zalety, które jej pozwalają odgrywać pewną rolę w towarzystwie. Ubiera się bardzo gustownie i według ostatniej mody, umie bardzo zręcznie przy pomocy skromnych środków wywoływać wielki efekt, delikatna ogłada towarzyska, umiejętność prowadzenia przyjemnej rozmowy, przy ruchach pełnych gracy, — to wszystko jest u niej, że się tak wyrażę „wrodzone.“

Posiada ona również wszystkie te zalety fizyczne, któremi się odznaczają kobiety romańskie. Tu jednak kres wszystkich pochwał.

Przypatrzyliśmy się teraz z kolei jej wadom i błędowi. Przedewszystkiem wrogo jest usposobiona przeciw wszystkiemu, co się tylko nazywa pracą. Nie jest w stanie wyobrazić sobie gospodarstwa, bez pewnej liczby czarnych lub brunatnych niewolnic, zawsze brudnych, leniwych i pochopnych do kradzieży. Śniadanie przyrządza służąca; porządki w domu należą do służącej; zakupy na targu są przywilejem męża, który wczesnym rankiem iść na nie musi z parobkiem, pani domu spaliłaby się bowiem ze wstydu, gdyby ją kto ujrzał na targu, kupując mięso lub jarzyny.

Przyrządzenie drugiego śniadania podawanego o godz. 9-ej i dyspozycja obiadu, który się odbywa o godz. 4-ej, należą do personelu kuchennego. I jeżeli się kto zapyta, co kobieta brazylijska robi przez cały dzień, to odpowiedzieć będzie można z czystym sumieniem: Nic. Przepraszam! Siedzi w oknie, kołysze się w krześle, przewracając kartki tłumaczonego romansu francuskiego, piecze słodycze, (przyznać to trzeba, iż przyrządza je wyśmienicie) zagra niekiedy jakiego walc albo jakiś łatwy utwór salonowy i od czasu do czasu krzyczy ostro na służbę.

Gniew jej jednak przemija szybko i za chwilę na drobnych jej ustach igra już wesoły uśmiech.

Zajęcia te przegradza wizytami, które przyjmuje lub oddaje; głównym tematem rozmów podczas tych wizyt jest tu naturalnie, jak wszędzie dobro kochanego bliźniego—plotka umiłowana.

Nikt nie zaprzeczy, że w takich warunkach kobieta brazylijska nie może być dla męża towarzyszką i przyjaciółką, której przypadło w udziale szczytne zadanie osładzania mu ciężkiej walki o byt i rozpraszania trosk z jego czoła.

To też wpływ jej, jaki wywiera na męża, jest bardzo mały. Sprawy połączone z jego zawodem nie interesują jej wcale z tej prostej przyczyny, że brak jej do zrozumienia ich koniecznego rozwinięcia umysłowego. Tę zupełną nieznajomość praktycznych wymagań życiowych cechuje najlepiej ta okoliczność, że większa część kobiet tutejszych nigdy nie ma pieniędzy w swem ręku.

Wszystkiego, czegokolwiek czarna kucharka w ciągu dnia potrzebuje, dostarcza pobliski sklep t. zw. „venda“ na rachunek miesięczny, za towary zaś, które dona Emilia kupuje w innych sklepach, otrzymuje mąż jej równie rachunek każdego miesiąca.

Jako matka jest kobieta brazylijska równie daleką od doskonałości. Dola i niedola dziecka spożywa od pierwszej chwili urodzenia w ręku czarnych służebnych, matka bowiem uważa za rzecz całkiem naturalną, że ją od ciężkich obowiązków wychowania zwolniono. W wypadkach ważniejszych, jak np. w chorobie, gdzie chodzi o życie lub śmierć dziecka, nie radzi się zdrowego rozsądku, lecz ucieka się do najciemniejszego zabobonu. Murzynka, a nie matka jest wychowawczynią dorastającego pokolenia, stąd jej wielka przewaga moralna w domu. Nic dziwnego, że ona nawet kieruje wyborem szkoły, do której dziecko ma uczęszczać.

Dla umysłowego wykształcenia dziewcząt bardzo niewiele tu dotąd zdziałano; szkoły żeńskie znajdują się w nader opłakanym stanie i tylko istniejące w Rio, Bahia, Pernambuco, Sao Paulo i Porto Allegre zbliżają się choć w części do europejskich.

Nauczycielki (one tylko udzielają nauki w brazylijskich szkołach żeńskich) są wzorem nieświadomości, i posadę swoją zawdzięczają po większej części nie tyle osobistym kwalifikacyom, ile raczej tej okoliczności, że chciano przez to dać wyraz uznania mężom ich lub krewnym, za zasługi położone na polu politycznym.

W Brazylii pełnią także i kobiety zameżne obowiązki nauczycielek; znalazłszy się przypadkiem w sali szkolnej, w której kilkadziesiąt dziewcząt pobiera naukę, nie powinniśmy się dziwić, jeżeli ujrzymy wykładającą nauczycielkę z krzyżącym dzieciakiem na ręku: wszak jesteśmy w Brazylii. Nauka sama ogranicza się do czytania, pisania, nieco rachunków, gramatyki i jeografii Brazylii. O „pracy“ jakiegokolwiek istotnej i tu mowy niema.

Dziewczeta, które przez dłuższy czas uczęszczały do szkół tutejszych, korzystać mogą nadto z nauki gry na fortepianie, która im co najwyżej umozębnia zagranie do tańca w kółku domowym.

Nauka pieczenia ciast, roboty szydełkowe i inne, a w razie wybitnych zdolności nauka robienia sztucznych kwiatów uzupełniają wykształcenie. Dziewczyna wyszedłszy ze szkoły zamienia się natychmiast w damę, dla której nie istnieją żadne umysłowe kwestye. Nie pielęgnują sztuki, nie zajmują się ani literaturą, ani językami; umysł jej jest za ciasny dla pojęcia, że zaszczytnym przywilejem kobiety jest kość miłosierną ręką nędzę cierpiącej ludzkości. Jedynem jej marzeniem — złapać jak najprędzej męża.

Tak wygląda przeciętna kobieta brazylijska, a choć zwłaszcza w południowej części kraju, dostrzegać się dają ślady polepszenia, to jednak bardzo wiele pozostaje do zrobienia, aby kobiecie tamtejszej wpoić poczucie obowiązków i nauczyć ją obowiązków te wypełniać.

D.

KORESPONDENCYA.

Zakopane, d. 23 Sierpnia 1896 r.

Od trzech tygodni goście zakopańscy z niecierpliwością oczekują ustalenia się pogody, która kaprysując nieustannie raz po raz zsyła nam to wieher silny, zwany „halnym“, to znowu deszcz ulewny połączony z wrażliwą zmianą temperatury, tym sposobem, pomimo dużego napływu gości, (cyfra obecna dochodzi do 5,342 osób) towarzyskie życie Zakopanego nie dorównywa ruchliwości lat poprzednich.

Mimo to urozmaicają sobie ludzie pobyt jak umiejają a umiejętność ich pod tym względem przewyższa zwykłą miarę, dzięki czemu mamy tu czasową wystawę szkiców Fałata i Kossaka z panoramy „Przejście przez Berezynę“, która ściągając niezliczoną ilość ciekawych; na jutro zapowiedziano ciągnięcie fantów loteryi, urządzonej na korzyść budowy nowego kościoła, który po wykonczeniu robót wewnętrznych i ornamentacyjnych, zostanie oddany do użytku pobożnych, co nastąpi najdalej w ciągu jednego roku,—dalej zabawy tańczące w miejscowym kasynie, wycieczki do „Czarnego stawu“ lub „Morskiego oka“ o ile chwilowa pogoda zezwala, wszystko to urozmaica pobyt w sposób iście uroczy, a tani. Już to na punkcie wycieczek Zakopane posiada w sobie dziwny urok, pociągający nie tylko zdrowych i dorosłych ale nawet ludzi leczących się lub wiekowych do dalekich i nużących pieszych wycieczek, a ożywczy górski klimat dodaje im sił, w innych okolicznościach nie zdobytych.

Wysoce miłą rozrywką towarzyską było tu przedstawienie amatorskie ze współudziałem znanej amatorki ze scen Warszawskich pani Rapaport, która grą swoją w komedyi Gawalewicza „Dzisiejsi“ przyczyniła się do zupełnego zadowolenia publiczności, nagradzającej ją rzeszami oklaskami.

Komunikacja kołowa w Zakopanem pozostawia bardzo wiele do życzenia, drogi bowiem, za wyłączeniem szos, pełne są wyboi i kamieni, po których toczą się wózki góralskie, obijając boki pasażerów, łaknących wypoczynku i rozrywki, po całorocznej nie raz ciężkiej pracy, to też droga do Smokowca (Szmeks) — najpiękniejsza komunikacja z Pesztem) trwa całych 11 godzin, choć urozmaiconą jest cudownymi widokami, wśród niebotycznych Tatrz, które w tych miejscowościach najpiękniej się grupują i największy wywołują zachwyt.

Przewodnikom (góralom) przybył świeżo smutny do opowiadania epizod tragicznej śmierci ucznia gimnazjum Krakowskiego, który pociągnięty chęcią zerwania nęcących szarotek, spadł ze szczytu „Nosala“ i nieszczęsny znalazł śmierć na miejscu.

Stefan Płonczyński.

Nad morzem.

Współczesne życie wielkomijskie stawia dla nerwowego systemu naszego coraz większe wymagania, w miarę też tego wzrasta i potrzeba wypoczynku i wzmocnienia sił nadwątłych. Podczas gdy jedni uciekają w góry, ażeby tam wzmocnić swe

płuca i mięśnie, drugich ciągnie nieprzewidywalna jakaś siła nad morze, gdzie w orzeźwiającem i przepięknym solami powietrzu przepędzić mogą kilka tygodni w rozkosznym *far niente* i przysłuchiwać się w marzycielskiej samotności ożywczemu szeptowi fal.

Kobiety i dzieci, które nie mogą znieść szumu silnie zawsze wzburzonych fal Morza Północnego, wybierają zwykle brzegi Bałtyku, sielankowata bowiem natura jego pozwala na pędzenie wesołego, rodzinnego życia; kto jednak pragnie silniej odczuć powiew morza, stargane swoje nerwy bez obawy poddając ożywczej jego potęgze ten wybiera na pobyt jedną ze znanych wysp Morza Północnego, jak Norderney, Helgoland, Sylt, Borkum, Föhr, Langeoog, Fannö i t. p. lub które z bardziej uczęszczanych miejsc kąpielowych na wybrzeżu holenderskim lub belgijskim.

Pierwszorzędnym holenderskim miejscem kąpielowym jest Scheveningen, które stanowi dolną część pięknej i w zabytki artystyczne bogatej stolicy kraju Haagi. I choć wspaniała sala nowego domu zdrojowego rozbrzmiewa tu nieraz głośniejszymi koncertami, choć nie brak tu balów, przedstawień teatralnych i innych uroczystości tego rodzaju, to jednak odbywa się to wszystko bez zgiełku i gwaru wielkomijskiego, spokoj i umiarkowanie panują w tym punkcie zbornym całego eleganckiego świata. Pierwsze urządzenia kąpielowe powstały tu w r. 1830, w owym to bowiem czasie wybudowany został kosztem zarządu miasta Haagi wielki hotel kąpielowy. Na jego miejscu stanął w r. 1885 nowy, wspaniały dom zdrojowy. Główną ozdobą tej miejscowości są prześliczne wybrzeża, rozciągające się tuż przed domem zdrojowym i wychodzące na odkryte morze. Na wybrzeżu tem stoją wybornie urządzone wózki kąpielowe, szczęśliwe dzieci bawią się swobodnie w wilgotnym, chłodnym piasku.

Spragnieni spokoju, w plecionych krzesłach lub namiotach, zabezpieczających od wiatru i deszczu użyć mogą dowoli widoku nieskończonego morza, które nęci swą wiecznie mieniącą się barwą i licznymi po nim kołyszącymi się okrętami. Dobrze utrzymane ścieżki dla pieszych i drogi dla powozów zapraszają do przechadzek i spacerów wzdłuż wybrzeża, po którym roi się pstra mieszanina gości kąpielowych: zamyśleni Holendreczycy, zawsze uśmiechnięci Niemcy, poważni i sztywni Anglicy oraz swobodni Francuzi. A we wsi Scheveningen panuje gwar jeszcze większy, niż w samym miejscu kąpielowym. Wesoła rybacka ludność tutejsza, nie sobie nie robiąca z sąsiedztwa eleganckiego świata, zachowała dotąd swoją dawną prostotę. Piękności wiejskie w swych starożytnych oryginalnych kostiumach, w wielkich kapeluszach słomkowych, obwieszonych srebrnymi łańcuchami i innymi świecidełkami, przedstawiają bardzo malowniczo i miły dla oka widok.

Pierwszorzędnym miejscem kąpielowym w Belgii, a nawet na całej Północy, jest Ostenda. Miejscowość ta zachodniej Flandryi łączy w sobie w dziwny sposób charakter stolicy z cechami miejsca kąpielowego. Gdziekolwiek spojrzysz, wszędzie właściwa dobie obecnej chęć użycia nęci oko. Dom zdrojowy, olbrzymi pałac w stylu maurytańsko-bizantyńskim z kapiąciami od złota dachami, gromadzi w zbyt licznie urządzonych swych salonach, czytelniach, palarniach i salach do zabawy przeznaczonych, całą międzynarodową publiczność kąpielową, która w każdym razie nie zebrała się tu li tylko dla kuracji, lecz przeważnie w tym celu, ażeby przypatrzeć się temu wesołemu zgiełkowi i... aby się samemu pokazać. Tu na przechadzkach nad brzegiem morza, wyrobić sobie dopiero można pojęcie, co to jest zbytek i elegancja toalet; tu w lecie

już spotkać się można często z modą, której panowanie rozciągać się ma dopiero w zimie; tu miejsce dla najdroższych i najoryginalniejszych rozrywek; tu, krótko mówiąc, odbywa się największy doroczny jarmark na próżność. Na brzegu roi się od wszelkich narodowości, w wodzie stoją całe legiony wózków kąpielowych, wśród fal widać tysiące fantastycznie, z wielkim smakiem, niekiedy z wielką kieteryą ubranych postaci. Wszystkich ich spotkasz wieczorem na zabawach, tańcach, koncertach w teatrze lub na przechadzce po moście, głęboko w morze sięgającym, lub wreszcie wśluchujących się na oświetlonym *à giorno* wybrzeżu morskim, w szumiącą bez przerwy muzykę fal morskich.

Ostenda słynna była już w dawnych czasach jako miejsce kąpielowe. Dziś ta uroczą położoną miejscowość z swoimi wspaniałymi w wszelkim możliwym przepychem urządzeniami hotelami, może być słusznie nazwana dyamentem Belgii, którego blask zwabia co roku tysiące gości z wszystkich stron świata.

O 20 zaledwie kilometrów od Ostendy leży od niedawna dopiero istniejące piękne miejsce kąpielowe Blankenberghe. Przed 50 laty była to jeszcze uboga wioska rybacka, z biegiem czasu podnosiła się jednak coraz bardziej i stała się niebezpieczną rywalką Ostendy, zwłaszcza od czasu, kiedy przed 13 laty wybudowano tu wspaniały dom zdrojowy. Brzeg morski jest równie piękny jak w Scheveningen i niemniej skuteczne kąpiele.

D.

Z bieżącej chwili.

— Ministeryum oświecenia zatwierdziło zapisy: ś. p. Adama Rojka w kwocie 3,000 rub., na stypendyum imienia Zygmunta Poradowskiego dla wychowanków wyższych zakładów naukowych tutejszych, pochodzenia polskiego i wyznania rzym.-katol., oraz drugi zapis zawarty w testamencie ś. p. Amilkara Myszkowskiego a przeznaczający fundusz na stypendya imienia Myszkowskiego, dla wychowanków szkół realnych w obrębie gub. Królestwa Polskiego.

— W Genewie między 14—19 Września obradować będzie drugi międzynarodowy kongres w sprawach dobroczynności publicznej. Pierwszy miał miejsce w Paryżu w 1889 r.

— Papież Leon XIII jak donoszą dzienniki włoskie, zaprowadził w ogrodach watykańskich uprawę winogron i sam nader żywo interesuje się nią. W tych dniach Ojciec Ś. oglądał winnice i był wielce zadowolony, że filoksera ich nie dotknęła.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: ark. 20-ty powieści p. t. **Fata Morgana**, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Ś. p. Adolf Pawiński, przez J. Nitowskiego (z portretem).—Pogawędka przez ?? — Pod wrażeniem muzyki, przez Mieczysława Glińskiego.—Promyk szczęścia. Urywek z życia, skreślił Jan Kenaj (dalszy ciąg).—Siostry Napoleona, Anatola Krzyżanowskiego (dalszy ciąg).—Kobieta brazylijska.—Korespondencya z Zakopanego, przez Stefana Płonczyńskiego.—Nad morzem,—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: **Fata Morgana**, powieść, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego, ark. 20-ty. — Przegląd mód. 16 wzorów i robót z opisem. Sekretarza gospodarskie.—Dyspozytę stołu.